

Smutna prawda rankingów

Andrzej Jajszczyk*

Wielu absolwentów naszych szkół wyższych pracuje „na zmywaku” w Anglii czy Irlandii. Czasami obawiam się, że precyzyjnie odzwierciedla to ich rzeczywiste przygotowanie zawodowe.

Ogłoszony ostatnio światowy ranking szkół wyższych potwierdził słabą pozycję polskich uczelni. Jak co roku, ogłoszenie międzynarodowych rankingów wyższych uczelni wywołuje ogromne zainteresowanie na całym świecie. Rektorzy i kanclerze uczelni triumfują bądź podejmują różnorodne działania, gdy pozycje uzyskane przez ich uczelnie nie są zadowalające. Uczniowie szkół średnich studiują opublikowane dane by wybrać w przyszłości uniwersytet, który umożliwi im najlepszy start w życie zawodowe. Podobnie postępują studenci, zastanawiając się nad wyborem studiów drugiego stopnia. Politycy głośnią się jak polepszyć światową pozycję uczelni w ich kraju bądź taką pozycję utrzymać. Znam tylko jeden kraj, w którym mało kto zaprzęta sobie rankingami głowę, poza podważaniem ich wagi bądź metodologii. To oczywiście Polska, w której zdaniem zarówno większości profesorów jak i studentów, szkolnictwo wyższe jest znakomite, a światowe rankingi to manipulacja Anglosasów i zawracanie głowy. Jeżeli trzeba by było u nas coś zmienić, to tylko dać uczelniom więcej pieniędzy z kieszeni podatników...

Coraz bardziej odbiegamy

Niestety prawda jest bardzo nieprzyjemna — polskie uniwersytety coraz bardziej odbiegają od światowego poziomu, co z kolei grozi nam zapaścią cywilizacyjną na wielką skalę. Z zupełnie niezrozumiałych dla mnie powodów wielu przedstawicieli wyższych uczelni nadal uprawia propagandę sukcesu. W artykule red. Katarzyny Klimek-Michno (*Dziennik Polski*, 10.11.2009) sprzed kilku dni cytowana jest wypowiedź prof. Karola Musioła, rektora Uniwersytetu Jagiellońskiego, w której stwierdza, że „praca polskich naukowców nie budzi zastrzeżeń”, a w rankingach „wypadamy dobrze na tle takich państw, m.in. jak Ukraina, Węgry, Czechy, które w szanghajskim rankingu zajęły jeszcze niższe pozycje.” Niestety prof. Musioł mija się z prawdą — dwa węgierskie uniwersytety Eotvos Lorand i Szeged, są dokładnie w tej samej co UJ, czyli czwartej setce uczelni sklasyfikowanych w rankingu szanghajskim, a Uniwersytet Karola w Pradze jest o setkę wyżej. Zostaje co prawda Ukraina; szkoda, że pan rektor nie wymienił też Somalii i Burkiny Faso. Pozycję podobną lub lepszą, często znacznie, niż nasze jedyne dwie uczelnie, które zmieściły się w pierwszej pięćsetce, ma szesnaście uniwersytetów z Chin, cztery uniwersytety z Brazylii, po dwie uczelnie z Singapuru i Południowej Afryki, a także uniwersytety z Argentyny, Meksyku i Indii. Nie wspominam już o Ameryce Północnej i Europie Zachodniej.

Nasza pozycja w rankingach odpowiada niestety stanowi faktycznemu. Polscy naukowcy, z niezbyt licznymi wyjątkami, nie pracują dobrze. Zamiast publikować w najlepszych, światowych czasopismach, czy prezentować wyniki na czołowych konferencjach, wolą wybierać pisemka, których nikt nie czyta, i uczestniczyć w trzeciorzędnych spotkaniach. To wymaga niewielkiego wysiłku, a przecież lista publikacji rośnie. Tylko nic dziwnego, że takich publikacji nikt nie cytuje, poza samymi autorami i ich współpracownikami. Jak tu zresztą dobrze pracować, gdy według ostatnich danych Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego około 40 procent polskich profesorów pracuje na więcej niż jednej uczelni, a przecież doba ma tylko 24 godziny. I niewiele zmieni tu wyposażenie uniwersytetów w nową aparaturę naukową. Międzywojenna, dużo biedniejsza od obecnej, Rzeczpospolita potrafiła stworzyć sławną w świecie polską szkołę matematyczną. Teraz też lubimy chwalić się, że mamy świetnych matematyków, ale słabo ich widać bo w tej dyscyplinie nie ma Nagród Nobla. Ostatni ranking szanghajski pokazuje, że i w tym przypadku król jest nagi. Żadna polska uczelnia nie weszła do pierwszej setki uczelni sklasyfikowanych według osiągnięć z matematyki. A jest w niej, poza licznymi uniwersytetami amerykańskimi, dziewięć uczelni z Francji, siedem z Wielkiej Brytanii, sześć z Niemiec, po trzy z Chin, Izraela, Kanady i Włoch, a także

uniwersytety z Australii, Danii, Hiszpanii, Holandii, Rosji, Singapuru, czy Szwajcarii. Podobnie, żadna nasza uczelnia nie znalazła się na listach uwzględniających wyłącznie osiągnięcia z fizyki, chemii, informatyki, ekonomii, nauk biologicznych, rolniczych, technicznych, czy społecznych. W tym ostatnim przypadku nie ma się zresztą co dziwić — na palcach rąk da się zapewne policzyć polskich historyków, politologów, socjologów, psychologów, czy pedagogów, którzy w ogóle publikują w międzynarodowym języku nauki jakim jest język angielski. Jak więc możemy propagować w świecie naszą kulturę, nasze wizje świata i historii?

Cztery patenty na milion mieszkańców

We wspomnianym wcześniej artykule, prof. Zbigniew Kąkol, prorektor AGH, podkreśla wagę Nagród Nobla w rankingach uczelni. Ale to przecież tylko jeden z wielu branych pod uwagę czynników w bardzo starannie przemyślanej i jawnej metodologii rankingu szanghajskiego. Liczne wyprzedzające nas uniwersytety z krajów, które często lubimy określać jako kraje trzeciego świata, nie mają wśród swojej kadry noblistów, a mimo to biją nas na głowę. Rektor Kąkol twierdzi, że „my natomiast szcycimy się tym, że nasi pracownicy tworzą rozwiązania, które są wykorzystywane w gospodarce, a ten aspekt w ogóle nie został uwzględniony.” Przecieram oczy ze zdumienia. Czy to oznacza, że Polska technika przoduje w świecie? Że polscy naukowcy wymyślili układy scalone, Internet, telefony komórkowe, superszybkie pociągi, a nasza gospodarka przoduje w świecie pod względem innowacyjności, konkurencyjności i nowoczesności? Jakkolwiek naukowcy z AGH odgrywają pewną rolę we wspieraniu gospodarki, czy nie da się tego powiedzieć o naukowcach z uczelni świata, w tym technicznych, które znalazły się na liście najlepszych?

Niestety twarde dane w dziedzinie finansowania nauki przez gospodarke i naszych osiągnięć technicznych są nieubłagane. Przedsiębiorstwa odpowiadają tylko za ok. 33 procent nakładów na badania i rozwój w Polsce przy średniej Unii Europejskiej wynoszącej prawie 55 procent. Liczba polskich wynalazków zgłaszanych do Europejskiego Urzędu Patentowego wynosi cztery na milion mieszkańców, przy średniej całej Unii Europejskiej wynoszącej 128. Wyprzedzamy tylko Rumunię. Nasz udział w tzw. patentach triady, czyli zapewniających ochronę na kluczowych rynkach USA, Europy i Japonii, jest najniższy wśród krajów OECD; zostajemy w tyle nawet za Turcją i Meksykiem.

Co wiemy o absolwentach?

Inną „słabość” rankingu szanghajskiego obnaża Łukasz Salvatorski, dyrektor kancelarii rektora Uniwersytetu Ekonomicznego w Krakowie. Ranking ten „nie uwzględnia losów absolwentów, tego, jak studenci wykorzystują przekazaną na uczelniach wiedzę i radzą sobie później na rynku pracy.” Myślę, że całe szczęście — wtedy wypadlibyśmy zupełnie z pierwszej pięćsetki. Badanie losów absolwentów jest żelaznym i bardzo starannie realizowanym punktem działalności wszystkich liczących się uniwersytetów świata. Wystarczy zajrzeć na ich strony internetowe. Nie da się niestety tego powiedzieć o naszych uczelniach. Jedyne co wiemy z popularnej prasy, to to że wielu absolwentów naszych szkół wyższych pracuje „na zmywaku” w Anglii czy Irlandii. Czasami obawiam się, że precyzyjnie odzwierciedla to ich rzeczywiste przygotowanie zawodowe.

Obrażanie się na rankingi i próby ich dyskredytacji nie pomogą naszym uniwersytetom. Trzeba pamiętać, że kształcenie na poziomie wyższym ma charakter globalny. Globalna też jest konkurencja. Nie sprostamy jej bez realizacji głębokich i niekiedy bolesnych reform. Alternatywą jest degradacja intelektualna Polski, odpływ jednostek najbardziej twórczych i sprowadzenie naszego kraju do roli dostawcy taniej siły roboczej.

*** Autor jest profesorem w Katedrze Telekomunikacji AGH, ekspertem zespołu z firmy *Ernst & Young* i *Instytutu Badań nad Gospodarką Rynkową* pracującego, na zlecenie Ministerstwa Nauki i Szkolnictwa Wyższego, nad strategią rozwoju szkolnictwa wyższego w Polsce.**